

Jan Woźniak

Wyniki pierwszej tury wyborów prezydenckich 18 maja br. wywołały w mediach i wśród publicystów niemal powszechne poruszenie. Mimo że pierwszą pozycję zajął Rafał Trzaskowski, prezydent Warszawy z Koalicji Obywatelskiej i Platformy (ponad 31 %), to poparcie Karola Nawrockiego „namaszczonego” przez Prawo i Sprawiedliwość (około 29,5 %) wiele mu nie ustępowało, nawet pomimo ciągnącej się za nim ostatnio afery mieszkaniowej. W rezultacie, kandydaci kojarzeni z obecną koalicją rządzącą i lewicą, nawet tą opozycyjną (a więc oprócz Trzaskowskiego – także Szymon Hołownia, Magdalena Biejat, Joanna Senyszyn i Adrian Zandberg) zebrali łącznie ok. 46,5 % głosów poparcia, a ci jednoznacznie prawicowi, mniej lub bardziej związani z PiS-em oraz różnymi odłamami Konfederacji – wyraźnie ponad 50 %, przy wysokiej frekwencji 67,31% (wyższej nawet niż przy pierwszej turze wyborów prezydenckich w 2020 r.). Tym samym, wynik drugiej tury nie wydaje się w tym momencie oczywisty.

Zdumiewający jest wysoki wynik Sławomira Mentzena z Konfederacji (około 15 %), a jeszcze bardziej – jego byłego klubowego kolegi, parlamentarnego skandalisty Grzegorza Brauna ze skrajnie prawicowej Konfederacji Korony Polskiej (ponad 6 %). Oznacza to wzrost popularności idei ultraliberalnych gospodarczo, a także nacjonalistycznych, antyimigranckich oraz – w przypadku Brauna – skrajnie antysemickich. Warto nadmienić, że o ile Braun wydaje się mieć sporo racji w krytyce ludobójczych poczynań obecnych władz politycznych państwa Izrael spod znaku premiera Netanjahu w Strefie Gazy - o tyle nie ma jej absolutnie, kiedy przechodzi od krytyki samych polityków Izraela do zideologizowanego antysemityzmu (chcąc zwalczać jedną formę rasizmu – inną jej formą). Dekady prawicowej linii nauczania w polskim szkolnictwie, mediach, propagandy antysocjalistycznej i skrajnie wolnorynkowej, a także słabość ideowa i agitacyjna lewicy – przynosi swoje „brunatniejące” żniwo.

Warto zauważyć, że w rezultacie wyborów poniżej oczekiwań na poziomie niespełna 5 % - wyładował ze swoim wynikiem centroprawicowy marszałek Hołownia z Polski 2050/Trzeciej Drogi, wspieranej także przez PSL. Zebrał więc niemal trzykrotnie mniej głosów niż kandydując na prezydenta przed pięcioma laty. Piękne słówka i gesty showmana, a obecnie członka koalicji rządzącej, nie wystarczyły, aby utrzymać społeczne poparcie. Zarówno słabnący wynik Hołowni, jak i Trzaskowskiego świadczą o spadku popularności politycznego rdzenia „uśmiechniętej koalicji”, nader często rozmiągającej się ze swoimi przedwyborczymi obietnicami. Poza wymienionymi wcześniej kandydatami, około jednoprocentowe lub niespełna procentowe/półprocentowe poparcie odnotowali także bliscy prawicy dziennikarz i satyryk Krzysztof Stanowski, związany kiedyś z Kukizem poseł Marek Jakubiak, mało znany konserwatysta Artur Bartoszewicz, antywojenny, ale jednocześnie bezrefleksyjnie proputinowski kandydat Maciej Maciak czy wreszcie reprezentujący samorządowców Marek Woch.

Z drugiej strony, umiarkowanie optymistycznie przedstawiają się wyniki zdobyte łącznie przez kandydatów ugrupowań i środowisk lewicowych (Zandberg, Biejat i Senyszyn). Przynajmniej na tle tych, jakie ich poprzednicy otrzymywali w ostatnich wyborach prezydenckich w 2020 i 2015 r. W sumie jest to aktualnie ponad 10 %, podczas gdy w ostatnich latach kandydaci lewicujący

osiągali wyniki z politycznego marginesu – było to kilkukrotnie mniej, niż obecnie (np. Biedroń zaledwie 2,2 % w 2020 r. a fatalna „pomyłka Millera”, Ogórkówna – 2,4 % jeszcze w 2015 r.). Choć wprowadzie uzyskany w tym roku, sumarycznie dziesięcioprocentowy rezultat trojga kandydatów lewicy to nadal mniej, niż wywalczył sobie chociażby w 2010 r. ówczesny kandydat SLD Napieralski (a było to wtedy ponad 13,5 %), to jednak widać wyraźne „odbicie się od prezydenckiego dna”, a tym samym pewną nadzieję i perspektywę na przyszłość.

Najwyższe notowania osiągnął tym razem na lewicy Adrian Zandberg z wynikiem niespełna 4,9 %, następne – obecna wicemarszałkini Senatu Magdalena Biejał z wynikiem około 4,2 %, Joannie Senyszyn przypadło zaś około 1,1 % ogólnej puli głosów wyborców. Także kandydaci lewicowi uzyskali największe poparcie wśród osób młodych (do 30/40 roku życia), aniżeli wśród ogółu społeczeństwa.

Trzeba w tym miejscu docenić, że główne ugrupowania lewicowe, Nowej Lewicy oraz Razem, wystawiły w tegorocznych wyborach prezydenckich nareszcie (w odróżnieniu od dwóch poprzednich elekcji) osoby posiadające umiejętności skutecznej autoprezentacji, przemawiania, a także pewien elementarny kręgosłup programowo-ideowy. Choć ich wyniki (zwłaszcza, kiedy rozpatrywać je oddzielnie) nie zachwycają, to jednak w sumie stanowią pewien sygnał społeczny nie tylko dla samych partii lewicowych, ale i dla obecnego rządu, który Nowa Lewica współtworzy. Większość głosów oddanych na Zandberga – łącznie niespełna milion – można odczytywać jako „czerwoną kartkę” dla koalicji rządzącej, która od miesięcy skręcała politycznie w prawo, niewiele różniąc się w swoich poczynaniach od PiS-u. Podobnie, osoby głosujące na Biejał – w tym przypadku w formie „kartki żółtej” – chciały zapewne pokazać, że oczekują ze strony rządzących bardziej lewicującej, prospołecznej i progresywnej polityki. Najwidoczniej taką właśnie lewicę, głośno i odważnie mówiącą o swoich postulatach, sprawach dotyczących sprawiedliwości społecznej, redystrybucji dóbr, godnej płacy i pracy, dostępności do mieszkań i opieki zdrowotnej (ale niezapominającą także o ludzkiej wolności, jak np. o prawie do aborcji) - jest skłonny popierać elektorat, który wciąż przecież istnieje i zasługuje na swoją reprezentację.

Współrządząca Nowa Lewica przez pewien czas lekceważyła Adriana Zandberga, gdy tymczasem okazało się, że to właśnie jego donośny głos „trybuna” dociera teraz najlepiej do lewicowych wyborców i wyborczyń. Choć trzeba przyznać, że w tym wyścigu kroku dotrzymywała mu niedawna jeszcze koleżanka z partii Razem – Biejał (przy różnicy ok. 0,7 % w liczbie osiągniętych głosów). Jednak na każdym „kryształ” są i rysy, a więc i tutaj można by się zastanawiać, czy np. radykalnie akcentowany przez Zandberga postulat „atomowej Polski” (postawienia prawie wyłącznie na energetykę jądrową) czy też przez oboje kandydatów – prawnego przymusu szczepień oraz utrzymywania wysokich wydatków budżetowych na wojsko – bardziej dodawały, czy ujmowały im szerokiego społecznego poparcia...?

Z kolei trzeci na lewicy wynik osiągnęła niszowa kandydatka – Joanna Senyszyn, która zgłosiła m.in. słuszny postulat redukcji ogromnych wydatków budżetowych na zbrojenia (z 5 do 3,5 % PKB). Jednak wg danych np. z Latarnika Wyborczego jej program był ogólnie nieco mniej prosocjalny i redystrybucyjny, niż w przypadku dwojga wcześniej wymienionych kandydatów. Poza tym była posłanka i europosłanka wydawała się brnąć w swojej kampanii w „przerost formy nad treścią”, jeśli chodzi o liczne, niejednokrotnie kiczowate i przerysowane memy wyborcze. Poparcia Senyszyn nie przysporzyła raczej także – krążąca w Internecie – tyleż

niefortunna, co i skandaliczna wypowiedź (jaka padła w ostatniej debacie dla TV Republiki, w odpowiedzi na pytanie zadane przez Brauna), że przy posiadanych przez nią sześciu mieszkaniach istnieje ryzyko ich wynajmowania, gdyż – w świetle polskiego prawa – mogłoby być trudno pozbyć się z nich w przyszłości lokatorów... W kwestionariuszach przedwyborczych Senyszyn opowiedziała się także przeciwko wprowadzeniu podatku katastralnego od kilku posiadanych nieruchomości, odmiennie od Zandberga i Biejat. A problematyka dotycząca mieszkań jest obecnie przecież chyba najbardziej newralgiczną. Choć wprowadzie ta emerytowana profesor ekonomii znana kiedyś zwłaszcza z antyklerykalnych poglądów - miewa niejednokrotnie przebłyski trafnych lewicowych intuicji i wypowiedzi, to jednak wciąż jeszcze „zza kożucha” wychodzą u niej niekiedy stare SLD-owskie i neoliberalne nawyki myślowe. Tym niemniej, kampania wyborcza Senyszyn – w odróżnieniu od Zandberga i Biejat – nie była finansowana ani wspierana przez subwencjonowane z budżetu, parlamentarne ugrupowania polityczne i osiągnięty przez nią wynik rzędu 1,1 % - oraz samych głosujących na nią wyborców – także należy zauważyć i docenić.

Przed lewicą otwierają się teraz różne możliwe scenariusze dotyczące przyszłości – albo pracy nad „zakopaniem toporów wojennych” i ponownym zjednoczeniem (co z perspektywy arytmetyki wyborczej mogłoby się wydawać logiczne), albo oddzielne starty w kolejnych wyborach do parlamentu, co aktualnie zapowiada partia Razem – szczególnie krytyczna i opozycyjnie nastawiona wobec koalicyjnego rządu premiera Tuska. Ugrupowania lewicowe muszą przemyśleć swoją pozycję i zadania do wykonania w rządzie lub ewentualnie poza nim. W samej Nowej Lewicy dyskutowana jest także możliwa zmiana obecnego przywództwa spod znaku wicemarszałka Sejmu Czarzastego, który uchodzi za współsprawcę wewnętrznych konfliktów w tej formacji i bywa wciąż kojarzony ze środowiskiem byłej tzw. nomenklatury.

Warto byłoby, aby lewica (nawet mimo poczynionych w tej kampanii widocznych postępów) wciąż pracowała nad swoim społeczno-medialnym wizerunkiem oraz sposobami docierania do szerokich grup społecznych, które niestety aktualnie lepiej uskuteczniają w Polsce ugrupowania prawicowe i ultraprawicowe. Nawiązaną w trakcie wyborów więź z „bazą społeczną” trzeba wciąż budować, odnawiać i pogłębiać.

Natomiast dla wyników zbliżającej się drugiej tury prezydenckiej elekcji - decydujące będzie starcie pomiędzy dwoma zarysowującymi się obozami. Wśród wyborców Trzaskowskiego znajduje się pewna grupa dawnego elektoratu centrolewicowego (przejmowanego od lat przez Platformę), która już w pierwszej turze głosowała w ten sposób „przeciwko PiS-owi”. Przed ostatecznymi wyborami - przed obecnym wiceprzewodniczącym Platformy Obywatelskiej - stoi niezmiernie trudne wyzwanie utrzymania obecnego poparcia społecznego kandydatów wywodzących się z ugrupowań „anty-PiS” z wyborów do parlamentu 2023 r., w tym także tych lewicowych, jak i jednoczesnego poszerzenia go przynajmniej o część wyborców Mentzena/Konfederacji. A o to właściwie już od pewnego czasu Platforma nader aktywnie zabiega, jak chociażby w sprawie niedawnego obniżenia „wybranych” wysokości składki zdrowotnej. Tym samym, już podczas swojego wystąpienia w trakcie wieczoru wyborczego 18 maja - Trzaskowski mówił zarówno o planach dalszej deregulacji gospodarki, wsparciu przedsiębiorców, poszanowaniu tradycji, jak i z drugiej strony o rozdziale Kościoła od państwa, dążeniu do legalizacji aborcji do 12 tygodnia ciąży czy też rzekomo zakładanym rozwoju budownictwa mieszkaniowego („ktokolwiek słyszał, ktokolwiek wie...”?!). Poczynił werbalne

umizgi do wyborców tak Mentzena, jak i lewicy.

Czy Platforma i reprezentujący ją Trzaskowski faktycznie będą chcieli oraz potrafili wypracować przekaz i program dwutorowy/socjalliberalny, który w jakimś akceptowalnym stopniu spełniałby oczekiwania nie tylko kapitalistów i posiadaczy, ale i tak często zapominanych ludzi pracy oraz osób niezamożnych...? Czy w drugiej turze zdobędą poparcie społeczne wystarczające do zwycięstwa nad Nawrockim? Jaka będzie w tym ewentualna rola ugrupowań oraz sympatyków lewicy? I co wreszcie z tego wyniknie dla nas wszystkich po wyborach...? Te kwestie zweryfikuje nadchodzący czas.

Jan Woźniak